

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

6

(Ciąg dalszy).

— A jakżeś wam się zdaje, kochany John, kto też waszego pana mógł zabić?

— Kto? toć to przecież jasne, jak na dłoni. A któżby, jeżeli nie ona!

— Myślicie, że to żona uczyniła?

— Ano tak panie, nie inaczej.

— A z czegoż się tego domyślacie?

— A toć przecież na weselu mówiła, że się pomści, że pana nienawidzi, a potem uciekła gdzieś i kryje się w świecie.

— Czyście to, kochany John, sami tak sobie obmyślili?

— Ej nie; mnie się to nie zdawało, bo wyglądała pocziwie, szlachetnie, dobra była dla ludzi, a że tam w złości nagała to i owo, to jeszcze nie wielkie rzeczy, bo to kobiecy zwyczaj. Tyle lat jestem w służbie, napatrzyłem się dość i wielkim paniom i uczonym kobietom, co nawet książki pisały, a znam też kobiety i biednego stanu i nieuczone. Mogę też powiedzieć, że one wszystkie jednakie; jak która w złość wpadnie, to będzie zabijała ale tylko językiem, a w duszy pocziwie i naprawdę niczy złego nie zrobiła.

— Skoro tak powiadacie, to czemuż macie podejrzenie na żonę zabitego pana?

— To się właściwie tak stało. Jakiś z Filipem zobaczyli nieszczęście, tośmy sobie odrazu pomyśleli, że to może zemsta której z tych, co to nieboszczyk pan się koło nich kręcił, ale starsza pani zawołała: „To ona, to ta niegodziwa żona mojego syna; poprzysięgła mu zemstę, ona go zabiła”. Wtedy dopiero zaczęło się nam wszystkim zdawać, że to chyba tak się stało, jak nasza pani mówi.

— Mówiliście, że żona waszego pana wyglądała uczciwie i szlachetnie, w czymże widzieliście ową pocziwość i szlachetność?

— Nie wiedzieć jak tu zacząć. Chyba od tego, że ta dusza musiałaby przecie choćby kiedy ukazać się na twarzy. A ta pani zawsze była piękna jak anioł, zawsze dobra i grzeczna dla każdego. Była dumna jak księżniczka, poważna jak królowa, ale i dobrotliwa bardzo. Nawet wtedy w weselu, gdy tak strasznie przemawiała, czułem w sercu, że z niej mówi żal, a nie złość. W oczach miała łzy, a nie piekło.

Stuart słuchał z wielką uwagą co mu zwykły, prosty rozum starego sługi opowiadał, potem przesłuchiwał resztę służby i od wszystkich dowiedział się tego samego, że właściwie stąd mają podejrzenie na Leonorę, bo matka zabitego je miała.

Oczywiście najbardziej był ciekaw tego, co mu powie Kate Scaton, ta serdeczna przyjaciółka Leonory, kazał więc służbie poprosić jej o rozmowę. Kate Scaton od ośmiu dni nie opuszczała matki Artevelta. Na tydzień przed weselem zaproszona przez nią, przebywała stale w jej domu i pomagała we wszystkich urządzeniach i czynnościach gospodarczych, a czyniła to jako serdeczna przyjaciółka Leonory. Teraz, po tem strasznym nieszczęściu, pani Artevelt nie puszczała od siebie ani na chwilę zacnej dziewczyny.

Zmęczona do upadłego i bezsennością i wrznięniami, była Kati tak osłabiona, że ledwie na nogach utrzymać się mogła, mimo tego zżywieniem rozpoczęła sama rozmowę ze Stuartem.

— Czekalam niecierpliwie, aby z panem pomówić. Przysięgam panu, że ona niewinna.

— Czy przez panią przemawia zaślepienie przyjaciółki, czy też silne przekonanie?

— Nasilniejsze przekonanie, oparte na znajomości wszystkich tajników duszy tej najzaczniejszej istoty.

— Niech pani nie zapomina, że przecie sama pani Leonora głośno i publicznie zagroziła zemstą, niech pani nad tem pomyśli, że niewinna nie potrzebowałaby się ukrywać.

— Ależ właśnie to nagłe jej zniknięcie i to ukrywanie się przed mężem, jest ową zemstą, o której mówiła. Ja byłam we wszystko wtajemniczona; nawet wspólnie układaliśmy plan jej ucieczki. Leonora jest może nieco ekscentryczna, ale charakter to tak piękny i tak dobry, że podziwiać go i wielbić należy. Znam ją przecie od dawna, z tych lat młodocianych, kiedy to serca i dusze roztwierają się jak kielichy kwiatów do słońca.

— Żałuję bardzo, że mnie kilka razy ominęła sposobność poznania przyjaciółki pani. Chociaż jej nie znam, wyobrażam sobie, że posadzać jej o tak straszną zbrodnię nie można. Proszę mi wierzyć, że dołożę najnsilniejszych starań, aby jej niewinność udowodnić, a mordercę wyszukać. Niechże mi pani opowie szczerze wszystko, a wszystko, choćby najdrobniejsze szczegóły, dotyczące się osoby pani Leonory.

Kate Scaton opowiadała dość długo historię swej przyjaźni z Leonorą, najbardziej drobiazgową kronikę czteroletniego, koleżeńkiego pożycia i starała się skreślić charakter swej przyjaciółki jaknajwyraźniej. Stuart słuchał tego z widocznym zadowoleniem, ale Kate tak już siły wyczerpała, że mówić dłużej nie mogła.

— Niechże pani skorzysta z tego, że pani Arteveldt zasnęła. Proszę położyć się spocząć, a jutro pomówimy jeszcze o tem wszystkim. Widząc się z drem Halle, niech go pani poprosi o klucze od mieszkania nieboszczyka, które zajmował w domu matki. Potrzeba mi się tam rozpatrzeć i poszukać jakiejś wskazówki do dalszego postępowania.

Stuart nie miał tu co dłużej robić, więc poszedł do domu, aby także odpocząć i po nocy bezsennej i po wrażeniach; spodziewał się też odwiedzin Jocelyna. Zaledwie przyszedł do domu, przyniesiono mu telegram takiej treści: „B. i ja wyjechaliśmy. Powrót niewiadomy. List wyprawilem”. Depesza pochodziła z jakiejś małej stacji kolejowej odległej o 10 mil od Chicago.

Stuart bardzo się ucieszył tym telegramem. Dowiedziawszy się o wyjeździe Jocelyna, zajęty sprawą Arteveldtów, niemógłby Jocelynowi pomagać, a byłoby mu przykro pomocy odmówić. Odpocząwszy i przebrawszy się, poszedł po klucze, o które prosił panny Scaton, a następnie udał się do kawalerskiego mieszkania Artevelta. Rozejrzał się we wszystkim dokładnie, według swego zwyczaju, szczególnie zwrócił uwagę na biurko, przepełnione listami i wszelkiego rodzaju fotografiami.

Korespondencja nie była ciekawą, skoro po przeczytaniu obojętnie odrzucał list za listem, aż dopiero mała karteczka zaciekała go bardzo. Pismo na niej kobiece, ale wyraziste z rozmachem rzucone na papier. Treść krótka, ale zastanawiająca.

„Niepokoi mnie Twoje postępowanie. Nie zamkam oczu, widzę dobrze. Potem co się stało, musisz być moim. Dziś wieczorem pragnę koniecznie z tobą pomówić”.

Podpisu nie było na kartce, ani adresu, tylko data 9. sierpnia, a więc z przed trzech miesięcy. To oczywiście zastanowiło Stuarta, więc schował kartkę starannie i szukał dalej, ale w biurku nie było już nic zajmującego. Zobaczywszy rozrzucone suknie Artevelta, zaczął je przeglądać, szukać w kieszeniach i tu znalazł drugą kartkę, pisaną tą samą ręką co poprzednio, i to przed czterema dniami, jak data wskazywała.

„Widziałam dziewczynę, z którą chcesz się żenić. Ona Cię nie kocha, na to przysięż mogę. Ostrzegam Cię i ostrzegam raz jeszcze. Zerwij z nią, zerwij natychmiast, aby nie spaść na Ciebie grom straszny, jako kara za przeniewierstwo wobec tej, która Cię kocha, wobec której zaciągnąłeś obowiązki”.

Czy to groźba, czy ostrzeżenie? rozważał Stuart. Czy tak, czy owak cenne to i ciekawe dokumenty. Znalazł się i trzeci. Na kominku był stos spalonych papierów. Widocznie Arteveldt palił przed ślubem kawalerską korespondencję. Stuart przetraszał czerniałe, zwęglone pokłady i dopatrzył kawałka niedopalonego papieru. Był to urywek listu, pisanego ręką Artevelta, przez pół zwęglony, ale jeszcze tyle można było wyczytać:

„...podarunki odesłałem, niczego nie zatrzymałem, więc... groźby... nie lękam się niczego... pozostanę więc przy przyjacielem, kochać nie mogę”.

Był to widocznie koncept odpowiedzi na list przed czterema dniami otrzymany. Oczywiście i ten skrawek papieru, na pół zwęglonego, schował Stuart starannie, potem zamknął mieszkanie i pospieszył do willi. Jak tu było wczoraj wesoło, rojno i strojnie, a dziś cisza śmierci, kiry żałobne, rozpacz matki, ponure widmo zbrodni. W ciągu jednej doby ruina życia i szczęścia! Smutno mu było, człowiekiem był; czuł, odczuwał niedolę ludzką, chociaż tragedye życia widywał wciąż, niemal codziennie.

Cicho, ostrożnie stapał po pokojach, dowiedziawszy się od służby, że nieszczęśliwa matka zasnęła. Szeptem poprosił Kate Scaton na chwilę rozmowy.

— Nadmienilem już pani, że mam pewne wąt-

pliwości co do winy Leonory i radbym zebrać dowody, że jest niewinną.

— Ależ ja przysięgam, że jest niewinną!

— To nie dowód, to tylko objaw wiary w jej charakter i wyraz przyjaźni. To za mało, dowodów potrzeba i tych musimy szukać. Czy pani zna dobrze pismo swojej przyjaciółki?

— Znam doskonale; przecie korespondowałyśmy z sobą tak często.

— Czy Leonora nie miała tu jakiej nieprzyjaźni?

— Niemożliwe, boć z nikim nie zawierała znajomości, prócz z moją rodziną i naszym kółkiem.

— Nie był też kto n niej na krótki czas przed ślubem? jaka nieznana pani, kobieta?

— A, tak, istotnie. Jakoś na ośm dni przed ślubem, była elegancko ubrana, welonem zakryta osoba i zabawiła z Leonorą w salonie około dwudziestu minut. Pytaliśmy potem Leonory o nią, ale zbyła nas ruszeniem ramionami i rzekła z uśmiechem: „At, komedya, o której niema co mówić”. Przez ciekawość pytałam jej, gdyśmy były same z sobą, ale i wtedy powiedziała mi tylko tyle:

„Jeżeli mi dobrze życzysz nie pytaj się o to. Przysięgam dotrzymać tajemnicy i dotrzymam, nawet wobec takiej serdecznej przyjaciółki”.

— No tak, to dosyć ciekawa tajemnica. A jeszcze słówko. Przyjaźniółka pani straciła matkę; nie sposób, aby nie miała jakiegoś opiekuna, choćby z urzędu ustanowionego. Czy pani wiadomo o tem?

— O, i bardzo dobrze. Tak jest, Leonora ma opiekuna. Jest nim dr. Austin; mieszka w Fairlie. Leonora bardzo go ceni, pokłada w nim wielkie zaufanie.

— Szczerze dziękuję za te wiadomości. A teraz ja panią wyręczę w czuwaniu przy chorej. Proszę się położyć, odpocząć, wyspać.

Kate Scaton udała się na spoczynek, a Stuart czuwał i rozmyślał, kombinował, układał plany, żeby wyjaśnić sprawę tak bardzo zagadkową.

XI.

Zagadka Fergusa.

Piękna Laura Durand nie wychodziła z buduaru. Wciąż była nie zdrowa, gdy migrena ustatyła, zdarzył się jej podobno nie miły wypadek, pośliznęła się na posadzce i nadwyrężyła nogę tak, że stąpać nie mogła. Durandowie z obawy i troskliwości chcieli wezwać lekarza, rozweselać ją swoim towarzystwem, ale piękna Laura wymówiła się stanowczo i od opieki lekarskiej i od towarzystwa rodziców. Zapewniała, że samotność i spokój najlepszym będą lekarstwem. Tylko ulubiona francuska pokojówka była prawie wciąż przy niej, na każde zawołanie.

Lękali się też Durandowie, aby wiadomość o tragedyi Arteveldtów nie wywarła zabójczego wrażenia na tkliwe serce Laury, więc radzono wciąż nad tem, jakby Laurę zwolna przygotować, boć zupełnie ukryć tego, o czem wiedział cały świat, było niepodobieństwem.

Podjęła się tego Nelly Brown. No i słusznie. Wszakże była towarzyszką Laury, umyślnie na ten cel przyjętą, aby Laurze uprzyjemnić życie.

Na atłasowej, zielonej otomanie leżała Laura w pozie tak ułożonej, jakby modelem była dla malarza. Była bezwładna, czy senna, rozgniewana, czy zgnębiona, pogrążona w apatycznej bezmyślności, czy tłumiąca wewnętrzną burzę myśli i uczuć. Trudno orzec, trudno ocenić, bo wszystko to spletało się razem na jej twarzy, nadając jej znamię chaotyczne.

Koło dziewiątej wieczorem weszła do buduaru Nelly Brown. Laura nie spodziewała się tych odwiedzin, czy też ich nie życzyła sobie, bo na widok towarzyszkki drgnęła niechętnie, ale Nelly niezważając na to, siadła spokojnie przy otomanie.

— Czy noga jeszcze boli? spytała, uśmiechając się ironicznie.

— Boli, odpowiedziała Laura cokolwiek opryskliwie i zwróciła głowę na bok, jakby na znak, że rozmawiać nie chce.

Ale Nelly nie zważała na to i poczekawszy chwilę, zaczęła znowu mówić:

— Że też to pani niczego nie ciekawa. Sądziałam, że zechcesz się dowiedzieć czegoś o weselu?

— Nie ciekawam wcale — odpowiedziała Laura i zmrużyła oczy, jakby do snu.

— Ależ to niezwykle było wesele.

— Cóż mnie ono obchodzi?

— Ej, może bodaj cokolwiek, nie udawaj pani